

# **Geografia elementarna**

Jacek Adamczyk

## **Dalmatia fugit**

## Nie wracam

Myślałem, że można tego uniknąć;  
zasłonić mgłą unoszącą wodę, ruchomym krzewem;  
ominać w zmęczeniu, w senności nawet,  
i wypali się do iskry, która zostanie ze mną do jutra.

Powraca śpiewnym krokiem obcej kobiety,  
odbiciem masztu i żagla na mokrej twarzy,  
jak światło przesuwane od wyspy do wyspy,  
jak dźwięk wydobyty z gardła ptaka.

Więc kulę się z przerażenia, że jeszcze nie wracam,  
nie potrafię zrozumieć północy na południu,  
i czuję się porzucony przez zdrajców z moich stron,  
kwiaty wyszyte na sukience, gest białej dłoni.

## W twoich włosach

Zamierając, zanurzam dłonie w wodzie,  
skórą odgaduję sól i bezbarwne powieki nurtu,  
a ta kropla, którą przykładam do czoła,  
spada, rzeźbi drogę, odbiera wspomnienia.

Płynie po policzku i niepotrzebnie  
zamienia nas w skamieniałe rośliny,  
znika w żywopłocie zażenowania,  
aż suche palce powycierają łzy.

Powracam napełniony wiatrem i bólem,  
rozczesuję twoje włosy, odgarniając myślami,  
wodorosty, kamienie, drobne ziarna piasku,  
czekam kiedy pochwyci mnie tkliwość.

## Płótno

Białe prostokąty to domy, niebieskie to dachy,  
łańcuchy łodzi splątane sieciami,  
pagórki kamieni, brodzenie przy brzegu,  
jasne włosy, ławka zajęta o zmierzchu,  
płótno utkane ze sznura, czarna koszula wioski,  
wśród pustynnych wzgórz zespawanych sepią,  
kurzu zmieszanego z morską solą.

Nakładam farbę na gruby pędzel,  
Kładę miękką glinę na ściany,  
Dodaję błękitu lub ochry,  
Przyglądam się, jeszcze spokojny  
Jak wysącza się zapach i upał.

Wtedy mogę Ci powiedzieć, że  
ani przez chwilę nie przestałem  
malować, zgadywać, podniecać,  
gorączką szybkiego mówienia,  
pragnieniem pośpiesznej nocy,  
gardłowaniem i upijaniem się.

Byleby było, byleby się stało,  
I niech nic mi nie mówi,  
Że na płótnie nie pozostają  
Rany, stłuczenia, faktura blizn.

## Głębiej

To jest jak otchłań,  
Ale wcale nie znaczy, że ginę  
Zanurzam się, nie oddychając,  
Nie boję się dotykać dna.

Zapominam o zabraniu powietrza,  
Doganiam srebrzyste kule światła,  
Jestem nareszcie sam, skupiony,  
Bez wzruszenia, źródła bólu.

Rankiem wracam,  
Osuszam usta i oczy,  
Jestem przytomny,  
Zbudzony wzrokiem i smakiem.

Uwierz mi, że tam byłem,  
Szukałem Cię bez zegara,  
Nie znalazłem  
Więc ocalałem na chwilę.

„Ale jednak...”

Światła jest zbyt wiele,  
nonszalancko bezlitosnego,  
ma w sobie uśmiech szaleństwa,  
czasem pluje przekleństwem.

Dźwięków jest zbyt wiele,  
małych kwiatów ostu,  
złośliwie wtartych w skórę,  
kryształów krzemu i krwi.

Jest zbyt wiele kroków,  
prowadzących rankiem nigdzie,  
po spuchniętych ulicach,  
obłąkanych od smutku.

Twarz zanurza się w wodzie,  
tlen wsiąka poprzez usta,  
niechcący, zdziwiony wyraz ulgi,  
gdy znowu prostują się zmarszczki,  
w supłach palców rodzi się drżenie,  
na czoło powraca ślad historii,  
na gruzie pragnienia rośnie uśmiech,  
można odejść poza warkot miasta.

Gdyby nie fontanna,  
byłoby to spotkanie ze śmiercią,  
która nie niesie ze sobą końca,  
krztusi się ze śmiechu.

## Katedra

Pod podłogą jest chłodna piwnica,  
oznaczająca lekceważenie dla przeszłości,  
Dookoła leżą prostokąty cienia,  
bezużyteczne, nie wykorzystane.

Ona sama ma ciężar miliona istnień,  
odpracowanych kolanami modlitwy,  
Słów wytartych na wizerunkach świętych,  
uporu i wiary we wszystko.

Leży ogromna i doskonała tak bardzo,  
że można się wślizgnąć tylko z pokorą,  
Opuszczając ramiona, mówiąc do siebie,  
że z każdą chwilą czas się wykrwawia.

Obudzi lęk albo zwątpienie w siłę,  
bo niczego nie przypomina,  
ma swoją i odebraną dumę,  
wglębienia w kamieniach, o które  
trzeba rozbić czaszkę by  
spłynęła niebieskim żalem,  
przywiezionym z dalekich krajów.



## Malarstwo południowe

Popatrz kolego, jak to wygląda,  
czyste barwy, wyprana pościel płótna,  
rozdeptane grudki brązowego,  
albo oślinione plamy cynobru.

Kiedy tak siedzimy razem,  
policzymy do dziesięciu,  
wystarczy przysłów,  
na każdą porę dnia i roku.

No i kto tu słyszał,  
o ołowiu i cynku,  
kto się zaduma nad  
uwięzionym w mroku,  
kaszlem października czy marca.

Wejdziemy sobie w cień, w blask,  
może być matowy lub gładki  
głęboki, nienasycony, próżny,  
barwy sobie nie dokuczają.

Kogo obchodzi zapach dymu,  
pędzel trzymany rękawiczką,  
ostatnie sekundy życia,  
gdy palcami rozcierasz szarość.

## Sztuczne światło

Miałbym cię w słońcu,  
gdybym zechciał ci towarzyszyć,  
kiedy korytarze światła,  
dotykają twoich piersi.

A może miałbym cię,  
w strugach wody,  
które lepiej niż ja,  
przechodzą przez twoje włosy.

Objąłbym cię jak wiatr,  
nie omijając żadnego śladu,  
twojego zdziwionego uśmiechu,  
otartego o gładkie ramiona.

Ale zgodzę się na sztuczne światło,  
będę umierał z braku powietrza,  
które mi odbierasz,  
będę czekał na tą sekundę,  
w której rzeka czasu,  
nie ma żadnego znaczenia.

## Pejzaż poranny

To powierzchnia za ledwie,  
pokryta olejem powietrza,  
tęczowym atłasem odbicia,  
nieba tętniącego pustką.

Utracone już dawno,  
wejście do ciemnych rozpadlin,  
niechęć przysiadła na ramieniu,  
by nie prostować pleców.

Dłoń przesuwa się po linii,  
jaką udaje statyka wody,  
powraca na twarz,  
zatruwając wzrok jaskrawością.

Potem budzi się,  
poraniony konturem szkła i brązu,  
gdy stary wszechświat,  
rozdeptał trawę posianą powietrzem.

## Martwa natura albo zjawiska fizyczne

Obok siebie przebywają drobne przedmioty,  
Już nieporuszane, dotykane nadmiernie,  
Małe drapieżniki, wytrącone z nocnych łowów,  
Przysiadłe, udające nieistnienie.

Na każdym z nich warstwa ochronnego pyłu,  
Czyli atomy przyniesione w dłoniach,  
Każdego, kto nie zauważył,  
Że nie wolno naruszać prawa do spoczynku.

Przemawiają do siebie często,  
Układają się o drobne ustępstwa,  
A nawet wybierają ofiary,  
Które bronią martwy świat przed ruchem.

Zbierają się razem by nabrać ciężaru,  
Zapaść się w głowę lub w serce,  
Uderzać tak długo i dotkliwie,  
Aż zniszczą humanoida, powróci do pyłu.

## Jakieś pragnienia

Upierał się by mi wytłumaczyć, że to sprawa wrażliwości,  
osiąganej po uporczywym przechodzeniu tam i z powrotem,  
ponieważ nieustanne spacerowanie wywołuje ciepło tarcia,  
kosmosu znajdującego się o odległość cienia od krążenia.

Po kilku latach wędrówki zmienił zdanie i powtarzał, że to zjawisko  
doskonałej osobowości, rzeźbionej przez cierpliwe poszukiwanie,  
nieodgadnionych pytań zaszczepionych przez postęp nauki,  
która pozwoliła mu ograniczyć zażywanie środków uspokajających.

Kiedy znowu stał się dzieckiem trzymał mnie za rękę,  
wmawiając, że należy odgadnąć zjawisko odpływania kontynentów,  
bo one są najbliższe wieczności, w porównaniu z zawieruchą,  
jaką absurdalnie fascynują się spikerzy i zrezygnowani literaci.

Poczęstowałem go milczeniem,  
maleńką filiżanką aromatu,  
z którym lubiłem siadać,  
obserwując erozję zdecydowania,  
entropię galaktyk,  
kiedy wiedziałem już,  
że żadna siła ,  
nie jest  
poza odkryciem.

## **Pod niebem wyspy**

## Kosmicznie

To nie jest tak, że on się układa,  
zmęczony razem ze mną,  
nocnym tramwajem, spacerem,  
do utraty wspomnienia,  
dzisiaj  
ulica jest pusta,  
wołanie do księżyca,  
rozbieranie do snu,  
dotykam dłoni, zimna,  
dotykam ust,  
nie odpowiadają,  
stukają zegary,  
łaszą się słowa,  
a kiedy szedłem,  
czułem, że wszechświat  
truchleje z żalu,  
bo brakło mi słów.

Ale wrócił, ułożył się obok.

## *Dla Barbary Z*

Oni odeszli poza krawędź,  
albo po prostu – odeszli  
nie zatrzymywani przez nikogo,  
nawet przez kota, albo zaproszenie,  
może byśmy poszli na kawę,  
a czasu było wystarczająco dużo.

Nie mieli silnych pazurów,  
wcale nie dbali o wygląd,  
nie chciało im się już udawać,  
że wszystko, naprawdę wszystko,  
jest jeszcze przed nami.

Odchylili się w złości i żalu,  
monochromatyczni i wyblakli,  
jeszcze spojrzeli z końca korytarza,  
na ulicę za oknem, park,  
w którym nigdy nie będzie wiosny,  
nawet lato jest tylko późne, nie przekonane,

Nie wiedzieli jak zaklinać pogodę,  
wzbudzać litość, nieślubne dziecko nadziei,  
być ważnym, choćby przez dotknięcie,  
przypominać o sobie do upadłego,  
a kiedy upadli, nie położyłem się obok.



## Trudno

Trudno to wytłumaczyć w prostych słowach,  
Które przechowuję, bo nie mam ich zbyt wiele,  
Strzeżonych na czarną godzinę jesienia,  
Sadzonych w odłamkach wspomnień, ukrytych.

Nie dowierzam, że pozostaną takie same,  
Jak wtedy gdy towarzyszyły stworzeniu,  
Oddzieleniu nocy od dnia i wody od lądu,  
Kiedy zmieniały pustkę w stan skupienia.

Zaledwie ich tyle, co palców u rąk,  
Po jednym na każdy, nawet serdeczny,  
Nie uległy spoceniu i wytarciu,  
W trakcie uciążliwego podawania ręki.

Dlatego tłumaczę się w innych słowach,  
Nie żał mi by zostały stracone,  
Przez ułomny aparat słuchowy,  
Jakim jest twoja silna wola i niechęć.

## Uchwytne, nieuchwytne

Czy powiem to tak, czy inaczej  
to nie jest prawda i jest  
mi bardzo przykro jeśli  
uwierzysz w to, co mówię.

To pierwszy wypadek  
w galaktyce wypieszczonej  
palcami po skórze gwiazd,  
gdy chroni cię nieprawda.

Że zaplatałem dłonie  
we włókna tkane snem,  
że nad brzegiem rzeki  
powiedziałem już jestem.

Każda prosta piosenka  
mogła być ostatnią  
sylabą bezszelestnych  
czarów, żeby się stało.

Ale chroni cię ciemność  
chmur, chociaż wierzysz,  
że wszystko jest,  
a przestrzeń to wymówka.

Więc wolę cię taką,  
poza zasięgiem jakiegokolwiek  
prawdy lub pożądania,  
choć to także nieprawda.

## **Podgórze**

## Cztery kamienie

Nie są z naszego lasu,  
na ostrzach traw nie ma ich krwi,  
ich słowa nie budziły sprzeciwu,  
gdy uczyliśmy się abecadła rodziców,  
gdy na oczach ciążył oddech  
nadchodzącego wszechświata.

Co najwyżej we wzroku trytona,  
uwięzionego za szkłem okrucieństwa,  
z błotnistej popołudnia w październiku,  
który się nie powtórzy za żadne skarby,  
z pękającej kry pod ciężarem ostatniego  
kroku, prowadzącego na drugą stronę.

Tylko kamieniami  
wyrzuconymi poza pragnienia i nadzieje,  
że tutaj urośnie cokolwiek, przyszłość,  
pozbawiona niekończącego się  
dążenia od źródła do oceanu,  
bo on tu już jest, już był,  
tylko nikt go nie obudził,  
na czas.

Ten kamień jest Jana,

nie zniknął w prądzie podziemnym  
ani w wielu twarzach odbitych w manuskryptach,  
jest najmłodszy, a omija go ryba, nawet ślepa,

## Zawracać

Nie nauczono nas zawracać,  
ani gdy trzeba, ani gdy nie potrzeba,  
gdy wszystkie głosy serca i trzeźwej racji  
mówiły, że na dzisiaj dosyć, na jutro także.

Nie wychowano nas na bajkach  
o tym, jak pięknie jest tam  
gdzie już byliśmy, na trawach,  
które zdeptali jeźdźcy i ciężkie wozy.

Nie potrafimy odwracać wzroku  
od śnieżnej przełęczy tak wysoko,  
na której nie zatknęto naszej flagi,  
której nie zdeptały nasze kroki.

Mówisz – „wróć, wróć do mnie”  
jakbym kiedykolwiek porzucił,  
„ostre szklivo twoich oczu”,  
kotwicę zakłęć, stalową linę pamięci.

Wiem, że za horyzontem,  
przestrzeń się zagina, rodzi się huragan,  
który mnie rzuci, złamie i pochłonie,  
ale tylko tam odnajdę złudzenie, że jestem.

...

To się nie kończy  
Nigdy nie zaczyna  
Zima, wiosna, zima  
Jak jeden łańcuch skarg  
Na brzegu zaciśniętych warg .

To się nie dzieje  
Wcale nie nadchodzi  
Mętna woda powodzi  
Zwierzęcy strach lub pośpiech  
W ustach wstrzymany oddech

Zanurzyć twarz  
Należy do mnie jeszcze  
Pokryta słonym deszczem  
Zimą, potopem, snem  
By nie powiedzieć – wiem.

## Chodzę tam wieczorem

Kiedy kończy się przekonanie i pragnienie,  
schowane przezornie między skończone dzienniki i stare listy,  
wytarte ze znaczenia albo młodszej tęsknoty,  
pojawia się monstrualne, kolorowe miasto.

Chodzę tam czasami, wieczorem,  
na granicę zabudowań, których nie znam,  
i wcale mi nie zależy, żeby o nich wiedzieć,  
więcej o tajemniczości, o prawdach, o myślach,  
jestem tylko przechodniem na spacerze, istnieniem,  
którego nie należy łączyć z czymkolwiek tam.

Mam papierowe parawany, broniące przed snem,  
głęboką wiarę, że wyobraźnia mnie uratuje,  
gdy z mroku usłyszę szuranie wilczych pazurów,  
na których schną świeże ślady owiec i zajęcy.

Chodzę tam czasem wieczorami.  
Ćwiczę niedostrzegalność i zatopienie w zieleni,  
Udawanej przez brudne plamy ogrodzeń.  
Gdybym mógł byłbym aniołem zagłady.  
Jestem skrybą bez pióra, piórem bez skrzydeł.

**O brzeg, o horyzont**



...

Ci, którzy lubią ciastka, jedzą ciastka słodkie,  
ja parzę gardło gęstym dymem,  
i każdy ma co chce, o co prosi,  
każdemu według zasług,  
każdemu według marzeń.

Kto lubi drogę stoi na brzegu,  
nie wie kiedy go spotka noc,  
upije się z radości,  
powietrzem, może deszczem,  
kieszenie pełne drobnych słów.

Dziewczyny w słomkowych kapeluszach,  
nasze koszule fruwać na wietrze,  
ktoś mówi –zostań ze mną dzień,  
do morza blisko, do gór,  
do miasta jeszcze daleko jak zawsze.

Przechodzą przeze mnie, mija czas,  
ona pozdrawia mnie, odchodzę,  
do pierwszych gwiazd i słońc,  
drogą bez powodu, jeśli  
u kresu zwijamy żagle.

## Zmiany klimatyczne

Następuje nieoczekiwana zmiana klimatu.

zjawiska płynne i harmonijne stają się  
jednorazowe, osobne, nieprzystające  
i to samo dzieje się z dźwiękiem,  
który niedawno był melodyjny, spójny,  
a teraz zgrzyta, sepleni, pluje i męczy,  
i to samo dzieje się z obrazem,  
wczoraj tak chciałem dotknąć go palcami,  
a teraz czuję martwą skórę, piasek i suszę.

Jeżeli przyszłoby do głowy szeptać albo krzyknąć,  
to powie, że taki jest kierunek i zwrot,  
tektonicznych płyt, morskich prądów, planet,  
promieni kosmicznej pustki, niszczących atomy.

Zmiana klimatu zastaje mnie w drodze,  
nic, co mam nie uchroni przed niebezpieczeństwem.

Zdziera ubranie, jak łupinę pomarańczy,  
ogłusza tak samo, jak spadające głązy,  
oślepia, jak pełne łez pożegnania z historią,  
wypala resztki pożądania, jak długi pobyt w piekle.

Jeśli nie przyjdzie do głowy żadne pytanie,  
otulę głowę rękami, skurczę się, będę mały,

poszukam góry i oprę się, chroniąc plecy,  
powtórzę „groza, groza”, będę początkiem  
czegoś innego.

### Co tam jest

Za dawną mgłą nieuwagi,  
pokrytej liśćmi spadłymi z kasztana,  
dymem męczących rozmów,  
kupowaniem chleba i wina,  
krojeniem chleba, nalewaniem wina,  
kolejną próbą powrotu z nikąd,  
do nikąd trochę bliżej,  
przemywaniem wzroku,  
łzami z braku snu,  
prośbami o jeszcze,  
jeszcze nie cierpieniem,  
trzymaniem się stołu,  
krawędzią katastrofy.

Obszarem gdzie prądy ciepła odpychają planety,  
a wielkie nagromadzenie żelaza utrzymuje ziemię na osi,  
asteroidy zagłady bezszelestnie żłobią kratery – groby gatunków,  
pustka jest wielkością stałą, a czas ledwie kwestią umowy,  
popiół wulkanów zamraża każde słońce i każdy korzeń trawy,  
stada ssaków tworzą warstwy nawozu, skorupiaki kredę.

Za dłońmi zakrywającymi twarz,  
chroniącymi przed kolcem wiadomości,  
zdziwieniem, że pomiędzy palcami  
jest miejsce na głos albo westchnięcie,  
niedowierzenie, że będzie jutro,

potem kolejne, albo coś innego,  
ktoś inny, podobny, taki sam,  
z innym imieniem,  
bez imienia,  
bez pierwszej osoby.

Szeregiem rzeczy normalnych i doświadczonych,  
jak ubranie złożone wieczorem na krześle,  
policzone wypadki i tylko jedna porażka,  
próba odebrania sobie życia,  
przy pomocy metafizyki i kalamburów,  
porządkiem, który się nie sprawdza,  
bo nie istnieje jedność przedmiotu,  
jak nie istnieje konieczność  
powtarzania tego znowu.

**Zdaje się, że już tutaj**

Ja

Poświęcę się trochę, nie za wiele,  
dla przekonania, że od pytań  
ważniejsze są odpowiedzi,  
przebywające w zasięgu wzroku.

Dla obrony, nie zacieklej,  
bo nie warto udawać przed sobą,  
króla, mędrca i błazna,  
dworu dworzan i dam dworu.

Że uciekając zostawiam za sobą  
pootwierane drzwi do schronu i na dach,  
lotem skowronka, brudnej mewy,  
zacieram ślady, poruszam powietrze.

Nie zrozumieć, czego nie warto  
pokonywać myślą i skupieniem,  
oszustwem wielu słów ważkich,  
zdruzgotanych twoim uśmiechem.

Poświęcę się trochę, w sam raz,  
żeby nie zabrakło mi siebie,  
kiedy będę obdzierał zwłoki,  
po przegranej potyczce z niebieskim hufcem.

## Przestworza i podwórka

Jest tylko rysą znak na niebie spadającego liścia,  
a nad nim bojowe wozy nabrzmiałych chmur,  
helleńskie nieboskłony pełne wiatru i stukotu,  
najładniejszych koni i dziewczyn w sandałach,  
miedziane trąby, orszaki białobrodych kapłanów,  
albo bezwzględni rycerze od krzyża i od pieśni,  
okrutni i bezbronni, odchodzący coraz wyżej.

Ktoś pozakładał kłódki na murowanych śmietnikach,  
zabraniając poszukiwaczom skarbów grzebania w spiżowych skrzyniach,  
roznosicielom biedy i poniżenia, odbierając nadzieję,  
która odtąd ma być zachowana tylko dla zawodowców,  
bo ubrany w nasze szmaty, przecież człowiek,  
mógłby poznajdować nieopatrznie wyrzucone przedmioty,  
dowody urojeń albo zwyczajnych nieporozumień.

Teraz wierzby, topole, kasztany i klony,  
wycierają niebo, kolejny raz, doskonale i nadzwyczajnie,  
by na nim położyć oddechy gigantów, westchnienia kolosów,  
utrzymujących wszechświat w idealnej równowadze,  
wbrew sztormom i przeciw szponom smoków,  
które nadchodzą od północy albo od rzucanych uroków,  
niosących strach, dumę i podobne zjawiska.

Pani, która robi porządki na wąskich alejkach,

z odrazą wyrzuciła dziurawe torby pełne niezwykłych różności,  
gromadzonych przed świtem, wydobytych z samego dna,  
starszy mężczyzna okupuje tę samą ławkę, przeklina wrony,  
trawa jest grząska od psich odchodów i niedopałków,  
nie ma ani jednej klatki schodowej - schronienia przed zimnem,  
lodowatym wstrętem stałych mieszkańców i dzieci.

Już tylko cisza, jak miejsce po wygłoszonej elegii,  
rozszerza źrenice, poruszenia serca olśnionego słowami,  
padającymi jak uderzenia topora, jak zanurzone wiosła w Styksie,  
albo nieśmiertelne frazy umierającej kochanki,  
oddającej hołd nadstawionym uszom wrażliwego trubadura,  
skrzypienie pióra po twardym pergaminie, przenoszącym  
przez Pireneje kryształ równania i geometrii.

Stara kobieta brnie do sznura, na którym suszy pranie,  
raz w tygodniu odwiedzają ją wnuki, przynosząc zbyt słodkie ciastka,  
okruszki chleba rozmoczone w mleku karmią gołębie, sroki i wróble,  
dojrzeła lęk przed zmierzchem, idzie jesień, za nią zima, bezradność,  
drepczą do kościoła, żeby przyjrzeć się bramom do nieba,  
bezdumni coraz rzadziej tutaj zaglądają, chociaż wiem  
stare swetry i buty na siatce drzwi zabezpieczonych stalowym zamkiem.

To jest niedziela pięćdziesiąta druga zwyczajna.



## Granica

Wyczerpała się przestrzeń,  
przechodzenia nie bezkarnie,  
pod oknami, na których ślady deszczu,  
dziwnie przypominają słone ślady  
zawiedzionych uczuć.

To już granica,  
do której mogłem ranić i tłumaczyć,  
że nie ma granic pragnienia i woli,  
nie ma takich ruin i zgliszczy,  
na których nie wyrosną konwalie.

Opróżniłem naczynia goryczy,  
rozlałem przepełniony kielich wina,  
napisałem ostatnie listy,  
w pięknym stylu i geście,  
powiedziałem wszystko.

Dalej nie sięga moje oszukańcze przekonanie,  
siadam pod zielonym jeszcze drzewem,  
gram na fujarce piosenkę opuszczonego,  
przez złudzenia i wyjaśnienia,  
że dalej już nie można.

„Nie wierz takiemu, co ładne słowa zna,  
a nigdy ręki nie poda, nie zanuci,  
zostawi, bo serca prawie on nie ma,  
jak kwiatek wieczorem porzuci”.

Niczego tutaj nie ma

Tutaj nie ma światła,  
kiedy między plamami winorośli  
opuszczającymi się z zielonego dachu  
opada jaskrawość, chłód wiatru, przejrzysty  
poranek i radość popołudnia.

Tutaj nie ma koloru zielonego,  
wpatrując się, licząc gałęzie ostrokrzewi,  
wyróżnionych spomiędzy pasma lasu,  
odbicia w słodkiej wodzie, zarosłej kałuży.

Tutaj nie ma miłości,  
jest najczulszym pocałunkiem, bez powodu,  
tylko dlatego, że wzruszenie ma więcej  
siły niż samotny uśmiech, albo podmuch  
kiedy można poczuć zapach, oddech snu.

Tutaj nie ma poetyckości,  
jest tylko szuranie po kamieniach, szlak mrówki,  
zagubionej w przestrzeni między stołem a Wielkim Wozem,  
i niedowierzanie z braku słów właściwych,  
toczące się bursztynowe łyż, garść piasku, bezczas.

Tutaj nie ma wieczności,

pojawia się zwątpienie, brak ruchu i wzroku,  
powietrze, które odbiera oddech, potem przywraca strach,  
w zamkniętych powiekach, stojących na drodze nadziei,  
budujących długie mury, wzdłuż drogi do wzgórza.

Krąg wyznacza obszar oddalenia,  
a jednocześnie powrotu i zmęczenia,  
które wcale nie jest częścią nagrody,  
może jedynie bezsilnością na progu, później.

Jednocześnie zadawane pytania są dźwiękiem,  
odbiorem utraconych refleksji, metaforami,  
rozrzuconymi, kiedy jeszcze nie dotarła świadomość,  
jak wiele razy można odmieniać to co jest?

## Pozostawmy to po sobie

Jeszcze ostatnie spojrzenie na miejsce do opuszczenia,  
albo: ostatnie spojrzenie na miejsca jeszcze nie do opuszczenia,  
szybkie, jak odgarnięcie włosów z czoła, odgarniecie myśli i milczenia,  
które po nas zostanie, aż obudzą się ruchliwe stworzenia,  
zielona jaszczurka, gromada mrówek, pająk, ślepe ćmy.

Nasyceń kolorem jednym i drugim, szara solą krzepnąca na ustach,  
smakiem mięty, cytryny i oliwy, pocałunków albo zimnej wody,  
niewzruszeni przed czasem, a tylko chmurami i zaginionym,  
zdaniem długimi, równoważnymi, rozwieszonymi na dojrzałym bluszczu.

To jest już bez znaczenia, bez semantycznych konsekwencji,  
otula się w obojętność, czyli odsuwanie poza brzeg pustej szklanki.

Nareszcie osiągnąwszy sztukę nie zwracania uwagi,  
jeśli nic i nikt nie zechce przyjść bez zaproszenia.

Przytłoczeni iluzją, która tutaj rozrasta się od dawna,  
w którą nieopatrznie weszliśmy, pełni pragnienia,  
zmęczenia, którego nie staramy się już ukrywać,  
świadomi, że będzie trudniej z każdą chwilą seledynowego piękna.

I jeszcze zamknąć za sobą okiennice, ozdoby, które tutaj tylko mają sens,  
a dla nas to dowody, że odpycha od siebie obcych i przyczajonych.

Potem jeszcze złamię kruchą łodygę na krzaku,  
zrobię znak krzyża, znak wdzięczności i nadziei,  
na którą znowu trzeba zacząć zasługiwać.

## Epilog

Jeśli to nie jest prawda,  
nie dostrzegam konieczności podejmowania wyzwań,  
nowych przedsięwzięć doskonalenia lub zrzucenia wagi,  
ani takich, które utkwiają w obrazach, w sennych melodiach,  
jak oczy bestii i szpony smoka.

Bo to mogła nie być prawda,  
tylko zwykła ścieżka, trochę w bok, dla uspokojenia,  
chwila potrzebna dla przemyślenia zagadnień,  
ile jeszcze zostało czasu, ile wolnych miejsc i oddechów,  
zanim rozszarpią mnie demony, harpie i wodnik.

To jest (była) tylko wątpliwość,  
jak epidemia deszczu, ociekająca poniedziałkiem, pomiarem,  
ile jeszcze pozostało czasu do głębokiego poznania,  
zanim wypadnie ze zmęczonej ręki prosty miecz,  
tarcza, stalowa zbroja świętego niepokoju.